

Od autora: Opowiadanie kryminalne. Nie rozdzielałam na części, chociaż to długi tekst. Będę zadowolony z każdej osoby, która doczyta do końca.

Wizje zbrodni

Londyn, koniec XIX-go wieku

Mary Hopkings nie była kobietą głupią. Była wykształcona, przystojna i zaradna, chociaż dosyć prostolinijna. Jednak dziś popełniła dwa błędy. Gdy zorientowała się, że popełniła pierwszy, podjęła próbę odwrócenia losu, ale to pociągnęło za sobą drugi. W ostateczności doprowadziły one do obecnej sytuacji, w której dwie silne ręce zaciskające się na białej szyi, powoli oddzielały jej duszę i ciało. Atak przyszedł niespodziewanie, a wszelkie próby oporu nie miały szans powodzenia. Przed śmiercią odkryła tajemnicę z przeszłości i teraz w pełni rozumiała, co zaszło przed laty. Kiedy ostatnia myśl stała się tylko martwym kłębowiskiem neuronów, ciało powoli opadło na podłogę, a dusza ulotniła się, zabierając sekret ze sobą.

Inspektor John Williams zjawił się na miejscu zbrodni, z miejsca przejmując dowodzenie. Był postawnym pięćdziesięcioletnim mężczyzną, wzbudzającym respekt już samym tylko wyglądem.

– Co ustaliliście? – Po przywitaniu zadał pytanie Peterowi Hankowi, jednemu z dwóch obecnych policjantów.

– Morderstwo. Uduśnienie. Denatka nazywała się... – Urwał speszony.

– Wiem. – Uniósł dłoń Williams. – Widzę, że samobójstwo nie wchodzi w grę – dodał, pochylając się nad ciałem. Na szyi zaznaczały się sine pręgi i krwawe podbiegnięcia. Przekrwione gałki oczne, obrzmiała twarz i wysunięty język dopełniały całości pośmiertnego obrazu w przypadku zgonu w następstwie uduszenia.

– Sprawcą najpewniej jest mężczyzna – dodał drugi, kucając obok inspektora.

– Tak by wskazywała logika i statystyka, ale mogła to być również silna kobieta. – Williams zerknął na młodego adepta. – My chyba nie mieliśmy jeszcze przyjemności, panie...

– Collins. Sierżant Arthur Collins. – Zasalutował, przęcąc się na baczność w okamgnieniu. – Miałem się o jedenastej zameldować u inspektora, ale nadkomisarz Connor wydał rozkaz stawienia się na miejscu zbrodni wraz z aspirantem Hankiem.

– Tak, tak. Słyszałem o panu – chrząknął. – Ciekawe ile w tym prawdy. Czas pokaże. A nadkomisarz miał słuszność. Najwięcej można nauczyć się w terenie.

Williams doskonale wiedział, kim jest nowy podwładny. Został przydzielony z prowincji, po protekcji księżnej Gladys. Podobno miał spory udział w odnalezieniu księżęcych klejnotów, jednak aspiracje o wiele większe niż łapanie złodziejasków. Inspektor zasięgnął języka i zgodził się go przyjąć. Nie dlatego, że obawiał się odmówić znakomitej osobie. Po prostu *dossier* Collinsa, biorąc pod uwagę młody wiek, wyglądało nader imponująco i rokowało na przyszłość.

– Według opinii doktora Masona zgon nastąpił pomiędzy godziną osiemną a dwudziestą na skutek uduszenia.

John Williams chwilę przyglądał się zwłokom. Na jego twarzy pojawił się wyraz smutku, a rysy na chwilę złagodniały. Następnie wstał, przeprowadził szybkie oględziny pomieszczenia, a na koniec podeszedł do drzwi.

– Jakie wnioski? – zapytał po chwili.

- Żadnych śladów włamania – zrelacjonował Hank. – Zamek nienaruszony, okna zamknięte od środka. Morderca musiał zostać wpuszczony przez ofiarę.
- Konkluzja?
- Denatka знаła napastnika – wtrącił się Collins. – Najpewniej nie spodziewała się ataku. Sąsiedzi nie słyszeli żadnych krzyków. Ciało znalazła służąca dopiero dzisiaj o godzinie ósmej. Morderca musiał podejść blisko. Kiedy ofiara zorientowała się w jego zamiarach, już ją dusił. Tak to widzę.
- Bardzo prawdopodobna wersja. – Pochwalił Williams, bez zbytniego entuzjazmu. – Oczywiście nie musiała go znać, mógł to być jakiś posłaniec, albo urzędnik... Ktoś wzbudzający zaufanie, poza podejrzeniem.
- Na przykład policjant – rzucił sierżant. Wytrzymał stalowe spojrzenie szefa. – Czysto teoretycznie, nikogo nie podejrzewam na tym etapie.
- Podoba mi się takie myślenie poza schematem. Oczywiście jest to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Zobaczmy, co powiedzą nam inne ślady. – Williams wyciągnął z torby pokaźne pudełko, położył je na biurku i dodał z namaszczeniem:
- A teraz pora na nowoczesne metody śledcze. Uczcie się.
- Inspektor przez najbliższe minuty zajmował się tajemniczymi czynnościami związanymi z różnymi pędzelkami, proszkami i klejącą folią. W trakcie tych czynności wyjaśniał, na czym polega daktyloskopia.
- Hank już to zna. – Urwał i spojrzał znacząco na Petera, który zaczerwienił się po uszy. – Ale ty, sierżancie, pewnie nie miałeś jeszcze styczności – zwrócił się do Collinsa. – To doskonała metoda, przyszłość wymiaru sprawiedliwości. Każdy morderca zostawia swój ślad, nie do podrobienia. Jak znajdziemy podejrzanego i porównamy odciski palców, to już się nam nie wywinie. Nie stanowi to dowodu przed sądem, póki co, ale będziemy mieli pewność, że mamy winnego. Wtedy, jak się go rozsądnie prześwietli, trochę przyciśnie, to i dowody się znajdą.
- Kiedy skończył i zapakował wszystkie przedmioty do pudełka, otrzepał ręce i zapytał:
- Czy to już wszystko?
- Jest jeszcze jedna rzecz, przejdźmy do następnego pokoju.
- Udali się we trzech do niewielkiego pomieszczenia, będącego zapewne buduaem. Widać było, że aktualnie znajduje się w trakcie remontu.
- Tutaj. – Poprowadził Arthur. – Może to nieistotne, ale to jedyne miejsce, z którego coś być może zginęło.
- Inspektor pochylił się obok kominka. W ścianie widoczna była skrytka z uszkodzonym mechanizmem, zapewne przypadkowo odkryta przez robotników w trakcie prac.
- Ciekawe – Williams zapisał coś w notesie. – No to pora działać. Jakies pomysły na kolejny krok?
- Trzeba jeszcze raz przepytac sąsiadów, poza tym robotników, rodzinę i znajomych – zaproponował Hank, na co otrzymał aprobujące skinienie głowy.
- Ja bym zaczął od męża ofiary – Collins spojrzał w oczy inspektora. – W takich sytuacjach według statystyk najczęściej winny jest małżonek, w około... – Urwał, po raz drugi szturchnięty przez Hanka.
- To prawda – powiedział zimno Williams. – Ale nie statystyk szukamy, tylko żywego człowieka. Niemniej, właśnie zmierzam z kondolencjami do Anthony’ego Hophkinsa. Wy przepytacie w tym czasie sąsiadów.
- Zanim któryś z podwładnych zdążył zareagować, wyszedł, trzaskając drzwiami.
- Oj, Arthur, właśnie podpadłeś staremu. – Ze współczuciem pokiwał głową Peter.
- Nie rozumiem.
- Usiądź, nie jesteś stąd, więc mogłeś nie wiedzieć – Hank sam usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i zaczął opowieść:
- Żona starego została zamordowana pięć lat temu. – Arthur otworzył szeroko oczy. Odruchowo przy-

łożył dłoń do ust, ale nie przerwał wywodu najmniejszym okrzykiem zdumienia. – Do tej pory nie znaleziono mordercy. Ale ta twoja uwaga musiała mu przypomnieć całą sprawę.

– Taa... Pewnie odebrał to, jako zarzut z mojej strony. No to początek znajomości obiecujący – westchnął.

– Jakby tego było mało – kontynuował Hank. – Jego żona z domu nazywała się Mitchel, Anna Mitchel. – Popatrzył znacząco na interlokutora, a potem skierował wzrok na leżące ciało.

– Chwileczkę, chwileczkę.. – Arthur wertował swój notes. – Mam! – wykrzyknął. – Mary Hophkins, z domu... Mitchel. Jak rozumiem... to nieprzypadkowa zbieżność?

– Właśnie zamordowano jego szwagierkę, a on nic, nawet łzy nie uronił. Tylko od razu wyciągnął te swoje pędzelki – Hank sparodiował w powietrzu ruchy Williama, udając, że zbiera odciski palców.

– To dlatego inspektor osobiście przybył na miejsce zbrodni. – Tłumaczył bardziej sobie niż Peterowi, Collins.

– Mówię ci, od czasu tej tragedii stary znikował. Ja pracuję z nim od trzech lat, ale swoje widziałem. Nie powiem, większość spraw udało mu się rozwikłać. Inteligentny jest i to bardzo. Ale to narwaniec. Kiedyś mało mnie nie pobił na służbie. Skąd ja miałem wiedzieć, że przyjedzie z tą swoją daktyloskopią.

– A co zrobiłeś?

– Wytarłem laskę, która leżała obok ciała. Była zabłocona. To było w takim zaułku, po deszczu. Chciałem ją dokładnie oglądnąć i wytarłem z błota. A ten, jak przyjechał, to wpadł w szał. Już się na mnie zamachnął, w ostatniej chwili zabrał pięść sprzed mojego nosa. Potem zwyzywał mnie od głupków, idiotów i tym podobnych przy całej masie gapiów i kolegów. Ja nie jestem zawistny, ale...

– Jasne, rozumiem – przerwał Arthur, klepiąc kolegę po ramieniu. – Bierzmy się do roboty, bo i ja nie wypadłem dziś zbyt dobrze. Pora pokazać, na co nas stać.

Arthur zamykając drzwi i chowając klucz, przypomniał sobie ostatnią rozmowę z księżną. Ta ze szczegółami wyjawiała mu tajemnicę poliszyneła dotyczącą inspektora Johna Williama. Teraz skrótowo usłyszał o niej od Petera. Czasami lepiej nie chwalić się posiadanymi informacjami – skonstatował. – Można wtedy usłyszeć różne wersje z kilku źródeł. Ludzie chętnie dzielą się plotkami, a nieraz powiedzą przypadkowo ciut za dużo.

John Williams jadąc dorożką, przeżywał na nowo żałobę po śmierci żony oraz świeżą po zgonie jej siostry. Głowa potwornie go bolała, w nocy znowu miał sny. A raczej te pojawiające się czasami wizje. Kiedyś nieopatrznie o nich wspomniał i wiedział, że do tej pory ma przydomek „wizjoner”. Pierwszy sen dotyczył kobiety. Rozmyte obrazy powróciły w pamięci. Niewyraźna twarz, krztusząca się i charcząca, czyjeś dłonie zaciskające się na białej szyi, odczucie złości i gniewu, zlewające się ze strachem ofiary. Mary Hophkins, to musiała być ona. Jednak to drugi sen wlał w serce inspektora zimny lód. Tym razem mężczyzna, również niewyraźny, krzyczał coś, machał rękami. Potem uderzenie w skroń, ciężki przedmiot roztrzaskujący kość i głuchy stukot upadającego ciała. Wszystko spowite atmosferą zła, furii i gniewu.

Obrazy londyńskiej codzienności widoczne zza okien dorożki, niczym wyjęte z kart powieści Dickensa, zlewały się w jedno. Stolica Wielkiej Brytanii, to najnowocześniejsze miejsce na świecie, tworzyła w zasadzie dwa przeciwstawne bieguny ludzkiego bytu. Mniejszość, która była na szczycie, udawała, że nie dostrzega skrajnej biedoty i nędzy zalegającej najuboższe dzielnice. Tędy właśnie, jako najkrótszą drogą, woźnica prowadził konie. Przed oczami inspektora z londyńskiej mgły wyłaniały się masy brudnych, smutnych twarzy trudnych do odróżnienia, a główną łączącą je cechą był brak isierki w oczach, tej energii i nadziei na lepsze jutro. Słynna londyńska mgła została powoli pożerana przez modernistyczny smog, który skrywał cały brud i ubóstwo, ten efekt uboczny postępu. Ale każdy mrok skrywa drugie dno. John Williams podskórnym wyczuwał, że sprawa Mary również takowe posiada.

Dorożka zatrzymała się pod wskazanym adresem. Tutaj mieszkali Hophkinsowie, to znaczy mieli swoje główne mieszkanie. To, w którym znaleziono ciało Mary, należało kiedyś do Anny, jednak po jej śmierci John zdecydował, że się go nie pozbędzie, nie miał na to siły. Przekazał je szwagierce, prosząc o zostawienie jej bez zmian. Dopiero parę tygodni temu zgodził się na przeprowadzenie remontu. Czy znaleziona skrytka zawierała coś ważnego? Czy coś na tyle istotnego, żeby zabić? Do głowy przychodziło mu tylko jedno wyjaśnienie – musiała tam się kryć wskazówka, ślad naprowadzający na mordercę jego żony. Albo to tylko pobożne życzenie.

Przed kamienicą zebrał się spory tłum gapiów. Nie wróżyło to nic dobrego. Williams był już prawie pewien, co zastanie w środku.

Peter Hank siedział za biurkiem z surową miną i wzrokiem węża.

– Imię i nazwisko? – zapytał nieco wystraszonego młodego człowieka, zajmującego fotel po drugiej stronie.

– Mark Quinn.

– Mark Quinn. – Powtórzył z przekąsem, jakby sugerował, że to zeznanie jest mocno podejrzanym, zapisując jednocześnie w notesie nierównym pismem. – Proszę opowiedzieć, kiedy ostatni raz widział pan denatkę, panią Mary Hophkins. Tylko bez krętactw.

– No, wczoraj pracowaliśmy do piątej, jak co dzień. Wie, inspektor. – Hank nie zaprzeczył, tylko kąciki ust drgnęły mu delikatnie w uśmiechu. – Ten pokój obok już wyremontowaliśmy, zaczęliśmy przygotowania do kolejnego i znaleźliśmy... to znaczy... wtedy właśnie Roberts szarpnął i drzwiczki odskoczyły. A tam jakaś skrzyneczka.

– Rozumiem, że ma pan na myśli ukryty schowek w ścianie i zniszczenie mechanizmu, tak?

– Tak, tak, ale myśmy nie wiedzieli. – Pocił się robotnik. – Inspektor wie, jak to jest, trzask, prask, kto by pomyślał, że coś tam w ścianie siedzi, no kto?... – Dokończył retorycznie.

– I co było w skrytce? – Utkwił wzrok w oczach świadka.

– Taka skrzyneczka, pudełeczko, jakby po czekoladkach.

– A w środku?

– Panie inspektorze, my prości ludzie, ale nie złodzieje, co to, to nie. Odłożyliśmy i jak przysłała pani Hophkins, oddaliśmy do rąk własnych.

– I żaden z was nie zaglądnął do środka? – Drażył "inspektor".

– Jak Boga kocham, może człowiek ciekawy i był, ale nikt do środka nie zajrzał. Zresztą, tam był taki zamczek, a my kluczyka nie mieliśmy. To i tak zostało.

– No dobrze. A kiedy zjawiała się pracodawczyni?

– Jak zawsze punktualnie kwadrans przed piątą, żeby sprawdzić prace i zwolnić nas do domu.

– Czy była zdenerwowana albo coś w jej zachowaniu odbiegało od codzienności?

– Nie, nic, panie inspektorze. Była zadowolona z postępu roboty, pochwaliła nawet, ona jest... to znaczy była... no, jakby to powiedzieć, nie patrzyła na prostego człowieka z góry. Myśmy ją za to szanowali. Wtedy Roberts dał jej pudełko, podziękowała, a po chwili poprosiła o wyłamanie zamka. No to Will, znaczy Monk, on ma taki fach w rękach, ale to porządny człowiek, panie inspektorze, szast-prast i zrobił swoje. Pani przeszła do pokoju obok i nie zobaczyliśmy, co tam było.

– I później już jej nie widziałeś? – Oczy Petera zwęziły się.

– Jak już wychodziliśmy, pani Hophkins zawołała jednego z tych ulicznych chłopaków, tych, co to za monetę załatwiają to i owo, ale już nie słyszeliśmy, co mówiła.

– Która była godzina?

– Tak około pięć minut po piątej, inspektorze. Dopiero rano jak przyszliśmy do pracy, dowiedzieliśmy się o tragedii. Ale to żaden z nas nie zrobił, zapewniam pana.

– To się jeszcze okaże, a teraz...

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili ukazała się ruda broda dzielnicowego.

– Mamy tego chłopaka, ma poczekać?

– Nie, niech wejdzie. – Po czym zwrócił się do Quinna:

– Na razie jest pan wolny, gdyby coś się panu przypomniało, proszę jak najszybciej mnie... albo innego policjanta o tym powiadomić.

Arthur Collins znudzony stanął przed kolejnymi drzwiami. Do tej pory nie uzyskał żadnej ciekawej informacji. Nikt nic nie widział, nie słyszał, ale każdy przejawiał niezdrową ciekawość. Tym razem otworzyła mu przystojna młoda kobieta. Bez zdziwienia zaprosiła go do środka i zanim Collins zdążył zaprotestować, już siedział przy stoliku w salonie z talerzykiem ciasteczek i parująca herbata przed sobą.

– Nie jest pani zaskoczona, pani?... – zawiesił głos.

– Joan Rutherford, panna Rutherford. – Zarumieniła się. – Spodziewałam się kogoś z policji po tym makabrycznym zdarzeniu, sam pan rozumie. To dla nas szok. Pani Hophkins to porządna kobieta, ogólnie szanowana, kto by chciał ją...

– Rozumiem. Kiedy widziała ją pani po raz ostatni? – Łyknął herbatę, w myślach licząc, która to już dzisiaj filiżanka.

– To będzie... we wtorek, dwa dni temu. Zamieniłyśmy parę zdań, taka luźna rozmowa.

– Czy zna pani jakiś powód... kogoś, kto by źle życzył pani Hophkins? – Odstawił napój i starając się nadać twarzy serdeczny wyraz, pochylił się w stronę rozmówczyni.

– Nie – odparła szybko. – Nie znam. – Powtórzyła bez zastanowienia. Ale...

– Tak? – Uchwycił się tej iskierki nadziei Collins.

– Słyszałam pukanie do jej drzwi, około godziny... to musiała być dziewiętnasta, dziewiętnasta piętnaście. Wypuszczałam właśnie Mirindę, tego niesfornego kota i wtedy usłyszałam pukanie.

– Skąd pewność, że to ktoś do Mary Hophkins?

– No, bo ja...

– Proszę mówić, każda informacja jest na wagę złota. Zapewne coś pani usłyszała... przypadkowo. – Podkreślił ostatnie słowo.

– Tak, właśnie tak. – Pokiwała głową, usatysfakcjonowana z nici porozumienia. – Usłyszałam głos Mary. Powiedziała: „Wejdz, proszę, zaraz ci wszystko opowiem”. Potem gość coś odpowiedział, może przywitanie, ale Mirinda miauknęła i nie dosłyszałam dokładnie.

– I co dalej?

– W sumie nic więcej. Trzasnęły drzwi, ja wróciłam do siebie.

– I nic pani nie dostrzegła, nawet kątem oka? – Wtopił prześwietlające spojrzenie w oczy kobiety.

Joan wytrzymała tylko chwilę, opuszczając wzrok.

– Nie, niestety nic.

– Żadnego szczegółu, mogącego naprowadzić nas na ślad tego mężczyzny?

Podniosła głowę i powiedziała sztywno:

– Ja nie powiedziałam, że to mężczyzna, sierżancie.

Collins zadał jeszcze parę pytań, ale żadnych istotnych informacji już nie uzyskał. Pożegnał się i z pełnym pęcherzem udał się na kolejne piętro. Blef się nie udał, ale i tak był zadowolony. Z głową i notesem zawierającymi nowy ślad, zastukał w kolejne drzwi.

Peter spojrzał groźnie na chłopca, który skurczył się w fotelu i nerwowo łypał spod oka na przedstawiciela władzy.

– Jak się nazywasz, młodzieńcze? – zapytał gromko.

– Adam Smith, szefie – wyrecytował ryży dwunastolatek.

– Nie bój się. – Posępny głos policjanta wywołał efekt odwrotny do zamierzonego. Hank nie lubił tych uliczników, wszyscy są tacy sami, brudni, niedożywieni i sprzedaliby matkę za parę groszy, złodziejaski. – Masz mi tylko powiedzieć czy niejaka pani Mary Hophkins w dniu wczorajszym poprosiła cię o drobną przysługę.

– To ta, co ją ukatrupili, tak? – W oczach chłopca pojawił się błysk zrozumienia.

– To ta, którą zamordowano. – Lodowatym głosem poprawił Hank.

– No to, szefie, ona mi, to znaczy ta pani, kazała zanieść paczkę i absolutnie nikomu innemu oddać do rąk, tylko mężowi.

– Mężowi? – Peter poczuł, że trafił na przełom w dzisiejszych zmaganiach śledczych. – Co dokładnie powiedziała?

– Chłopcze, zanieś to pod Picadilly Street 22A, do rąk własnych mojego męża, Antoniego Hophkina. Tylko pamiętaj, nie możesz tego oddać nikomu innemu, tylko jemu. Gdyby go nie było, masz poczekać, aż wróci, i przekazać mu paczuszkę. Jeśli dobrze się wywiążesz z obowiązków, dostaniesz drugie tyle.

– I co dalej? – Skrzętnie notował policjant.

– Zaniosem, gdzie trzeba, czekałem z dwa kwadransy, oddałem właścicielowi i dostałem jeszcze piątaka. Potem wróciłem do tej, co ją... wie, szef... – Adam zacisnął ręce na szyi, wybałuszając oczy. – Tylko że nikt mi nie otworzył. Waliłem w drzwi, ale nic nie wskórałem. Obiecana zapłata przepadła. – Dodał z westchnieniem.

– A co było w tej paczce?

– No, szefie, ja porządna firma, co szef... – Zaperzył się, już bez cienia strachu. – Przesyłka rzecz święta, nigdy nie zaglądam, jak mi płacą, robię swoje. Ma się honor i renomę, szefie. – Wypiął kurzą klatkę piersiową.

Peter popatrzył z pobłażaniem. Nie wierzył w uczciwość takich pętałów, ale w tym wypadku łatwo to będzie sprawdzić. Niestety, inspektor Williams już pewnie wszystko wyjaśnił z Hophkinsem. No cóż, ja zrobiłem swoje, nikt się do niego nie przyczepi. Zwłaszcza wredny przełożony.

Hank wypytał jeszcze chłopca o parę spraw, ale niczego ciekawego już się nie dowiedział. Kazał mu więc odejść i sam zebrał się do wyjścia.

Pora złapać Collinsa i udać się do starego na Picadilly Street – pomyślał, zamykając drzwi na klucz. Kiedy się odwrócił, zobaczył jednego z wcześniej przesłuchiwanym robotników. To właśnie on pierwszy wspomniał o chłopcu. Teraz pociągał coś z butelki. Kiedy Hank starał się go ominąć, ten zastawił mu drogę i rzekł nieco bełkotliwie:

– Panie policjancie, widziałem chłopaka, jak stąd przed chwilą wychodził – wycedził.

Peter poczuł smród alkoholu, popatrzył na ogorzałą twarz, czerwony nos i szybko wyrobił sobie zdanie na temat informatora. Już chciał go wyminąć bez słowa, gdy ten złapał go za rękaw.

– To nie ten chłopiec. – Czknął.

– Jak to, nie ten chłopiec? – Zdziwił się Peter.

– To nie ten, tamten był mniejszy, dobrze widziałem. I nie był rudy, tylko jasny.

Ech, ci pijacy. – Ostentacyjnie przemknęło mu przez głowę. Jako śledczy trzymający się reguły, wyciągnął jednak kajet i spisał relację robotnika. Informacja wywietrzała mu jednak z głowy, zanim schował notes w kieszeni. Pewne wiadomości trzeba było odfiltrowywać, zwłaszcza z tak lichego źródła.

Teraz muszą znaleźć Collinsa i zobaczymy, co zdziałał stary. – Ustalił w myślach plan działania i pożegnał chwiejącego się mężczyznę ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

Antony Hophkins upadł na ziemię. Jeszcze kwadrans temu popijał sobie spokojnie whiskey, później zabrał się za czytanie, przerwane niespodziewaną wizytą. Parę zdań wystarczyło, żeby rozmowa przerodziła się w kłótnię. Nie spodziewał się jednak, że dojdzie do rękoczynów. Uderzenie, mocne i celne, roztrzaskało mu skroń. Na tyle niespodziewane, że nie zdążył zareagować. Szybko powiększający się krwiak ucisnął na ośrodek oddechowy i zanim głowa z głuchym odgłosem uderzyła o podłogę, nie było w niej już życia. Ten ostatni kwadrans wystarczył mu jednak, żeby zrozumieć, że stanął twarzą w twarz z mordercą. Powinien przewidzieć, że morderca może zaatakować ponownie. Powinien, najwyraźniej jednak z wiekiem osłabł u niego instynkt, a wiara w ludzi, pomimo doświadczenia życiowego, pozostała do końca zbyt duża.

John Williams skończył właśnie porównywanie odcisków palców. Nowatorska metoda na razie nie posunęła śledztwa do przodu. Usiadł za biurkiem Antoniego i zaczął porządkować w myślach fakty, rutynowo już przelewając je na papier. Trochę się tego nabierało.

Kiedy trzy godziny temu pojawił się w mieszkaniu Hophkina, trafił w sam środek policyjnej roboty, a mieszkanie powinowatego okazało się kolejnym miejscem zbrodni. Wizja ze snu znów stała się tragiczną, realną rzeczywistością.

Ciało mężczyzny, nieco starszego od inspektora, leżało na prawym boku z beładnie rozrzuconymi rękami. Na lewej skroni rzucała się w oczy masa zakrzepłej krwi, ciecicy, będącej pewnie płynem mózgoworodzeniowym i odłamki kości. Doktor Mason ze smutną miną spojrzał na Williama. Druga osoba z rodziny inspektora straciła życie tego samego dnia. Nie silił się nawet na słowa pociechy, zdał po prostu suchą relację, pożegnał się i rzucając na odchodnym: „Resztę przekażę po sekcji zwłok”, zniknął szybko z mieszkania denata.

Williams dokładnie oglądnął ciało, następnie zbadał otoczenie, w międzyczasie zadając podwładnym masę pytań. Kiedy już skończyli swoją robotę, odesłał ich do działania w terenie, czyli przeprowadzania żmudnych przesłuchań w sąsiedztwie oraz wśród rodziny i znajomych, a ciało zabrali do doktora Masona.

Sam zabrał się za ocenę daktyloskopijną. W pewnym momencie w jego ręce trafiła metalowa kula, używana zapewne, jako przycisk do papieru, a będąca wyobrażeniem kuli ziemskiej. W drobiazgowy sposób odwzorowano świat na powierzchni ciężkiego przedmiotu. John wykonał trik z proszkiem, pędzelkiem i klejącą folią. Kiedy spojrzał na rezultat, zdziwił się bardzo. Ciekawe – skonstatował, pełen niepokojących myśli. – Ciekawe.

Po skończonej pracy, gdy przelał już wszystko na papier, pozwolił sobie na zwykłe ludzkie odruchy – na żalobę i gniew po utracie bliskich. Nie ulżyło mu kilkukrotne uderzenie pięściami w stół, czy kopanie wyimaginowanego przeciwnika, ani szaleńczy krzyk, który pewnie przeraził sąsiadów.

Kiedy do mieszkania przybyli Hank z Collinsem, ich szef siedział spokojny, patrząc nieruchomo przez okno. Dopiero chrząknięcie Hanka wyrwało go z marazmu.

– Siadać i relacjonować, ja opowiem potem i podsumujemy, co mamy.

Najpierw zaczął Peter, świadomy rewelacji, które przyniósł, potem trzy grosze dodał Arthur. Na koniec zabrał głos inspektor Williams.

– Podobnie, jak wcześniej żadnych śladów włamania, śmierć natychmiastowa, najpewniej poprzedniego wieczora między dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą, chociaż około dwudziestej był widziany przez sąsiada, więc zawężamy do godziny między dwudziestą a dwudziestą pierwszą. Zgon na skutek uderzenia w skroń ciężkim przedmiotem, prawdopodobnie owalnym, bez ostrych brzegów. Póki co, żadnych ciekawskich sąsiadów, którzy coś widzieli. Sejf nienaruszony, nie widać śladów przeszukiwania mieszkania. Mam pewne podejrzenia, co do narzędzia zbrodni, ale dam wam chwilę na ocenę sytuacji i wyciągnięcie wniosków.

Po trzech kwadransach ponownie zasiedli przy biurku.

– Ofiara musiała znać sprawcę albo był to ktoś niebudzący podejrzeń – zaczął Hank powielając wnioski z

poprzedniego miejsca zbrodni.

– Analogicznie do sprawy Mary Hophkins.

– Czyli możemy wykluczyć męża jako mordercę żony. – Z dumą wydedukował Hank.

– Myślę, że jest to mało prawdopodobny scenariusz, chociaż, Anthony mógł zabić Mary, a sam zginąć z ręki osoby trzeciej.

– No tak... – Stropił się.

– Co jednak możemy wykluczyć – wtrącił się milczący dotąd Collins.

– Na jakiej podstawie? – zapytał sucho John.

– Wiemy, że ktoś odwiedził Mary, ale to nie mógł być mąż. Według relacji Smitha, tego chłopca, był tutaj około godziny... – Sprawdził w notesie. – Osiemnastej. Anthony Hophkins był wtedy w domu, ale zajęty i dopiero po dwóch kwadransach przyjął małego. Nie zdążyłby pojechać do żony, zabić jej i wrócić przed dwudziestą, o której to godzinie ostatni raz był widziany żywy. A według wstępnej oceny czasu zgonu, Mary Hophkins już wtedy nie żyła, a on sam niedługo później. Czyli nie zdołałby tego zrobić po dwudziestej i wrócić. Chyba że lekarz się myli.

– Znam go dobrze, jego wstępne oceny oscylują w granicach błędu trzydziestu, sześćdziesięciu minut góra, kiedy potwierdza czas po wykonaniu sekcji zwłok. Przez tyle lat nie popełnił większego błędu, mam do niego zaufanie. Czyli podejrzanego brak. Motyw?

– Zawartość paczuski, którą znaleziono w skrytce i którą ten ulicznik dostarczył osobiście przekazując Anthoniemu.

– Jakiś pomysł?

Niestety nikt nie miał żadnego sensownego, popartego choćby cieniem prawdopodobieństwa, aby nazwać to poszlaką.

– No to kolejna sprawa, narzędzie zbrodni.

– To by się nadawało. – Wskazali równocześnie przycisk do papieru w kształcie globu Collins i Hank.

– Zbadałem odciski palców na tej kuli... – Urwał Williams.

– I co, inspektorze? – Nie wytrzymał starszy z podwładnych.

– Czysto, żadnych odcisków palców.

– Hmm, czyli jednak nie ta kula.

– Wprost przeciwnie. – Zaoponował podekscytowany Collins. – Jeśli nie ma żadnych – podkreślił to słowo – odcisków palców, to znaczy, że ktoś się ich pozbył. Inaczej zostałyby odciski właściciela lub przynajmniej sprzątaczk. Nie sądzę, żeby przesadnie dokładnie wycierano taką ozdobę.

– Zgadza się z tobą. – Wyraził uznanie Williams. Ma chłopak inteligencję – pomyślał sobie. – Mógłby być moim synem. Chciałbym mieć takiego syna, szczerze mówiąc.

– Tu pojawia się jednak kolejny, niezbyt miły dla nas fakt – kontynuował. – Morderca spodziewał się, że zbadamy odciski palców. Czyli musi znać metodę daktyloskopii. Albo jest bardzo inteligentny. – Popatrzył na Collinsa. – Albo... – Skierował wzrok na Hankę. – Wystarczy niezbyt rozgarnięty policjant, który zna taką metodę.

Gestem dłoni uciszył przebąkiwania podwładnych i przeszedł do kolejnej niewiadomej.

– Wnioski na temat płci mordercy?

– Mężczyzna – odpowiedzieli równocześnie.

– Najpierw udusił, potem użył dużej siły, to wskazuje na osobnika mocnego, więc raczej nie. – Wyraził osąd Arthur.

– Chociaż teraz tym sufrażystkom poprzewracało się w głowach, chcą nawet prawa głosu. Może i zabijają teraz jak mężczyźni. – Zgryźliwie dodał Peter.

Rozpoczęła się dygresja na temat roli kobiet w społeczeństwie, a Williams zatopił się w myślach. Jego Anna też taka była. Nowoczesna, inteligentna, domagała się równego traktowania kobiet. Fakt, jej umysł mógł konkurować z wieloma męskimi, a gdyby takie jak ona mogły głosować, kto wie, czy nie byłoby to

z korzyścią dla kraju. Doceniał to, chociaż czasami chciałby, żeby jego żona była bardziej... kobieta. W takim dobrym, starym stylu. Ech... – Odgonił wspomnienia. – Pora zająć się terażniejszością, ona może stanowić klucz do przeszłości.

– W takim razie podsumuję. – Zaczął tubalnie, nie patrząc na pozostałych mężczyzn. Mówiąc, przechadzał się po gabinecie z rękami założonymi do tyłu, czasami gestykulując, aby podkreślić pewne spostrzeżenia.

– Zaczniemy od początku. Pierwsza ofiara znajduje jakiś tajemniczy przedmiot, wysyła chłopca z paczuszką do męża, a sama wkrótce później ginie. Wiemy, że około godziny siódmej, siódmej piętnaście, ktoś ją odwiedził, ale nie mógł to być mąż. Zresztą, ów, po otrzymaniu przesyłki również ginie. Mamy więc prawdopodobny motyw zbrodni. Morderca bez trudu dostaje się do mieszkania ofiar, więc najpewniej znają go i nie wyczuwają niebezpieczeństwa. Może jeszcze nie odkryli tajemniczy przedmiotu, który dostał się w ich posiadanie. Myślę, że morderca przed śmiercią wydobyl informację z Mary Hophkins, co zrobiła z tym przedmiotem, dlatego udał się tutaj i dokończył dzieła. Umknął wraz ze zdobyczą, która mogłaby go zdemaskować, jak mniemam. Przynajmniej zamknął sprawę i nie będzie więcej morderstw. Pytanie, skąd wiedział o znalezisku? Mamy dwie opcje – albo od robotników, nawet przypadkowo, chyba że to jeden nich, albo od samej Mary. Przychyłam się do stwierdzenia, że to ktoś z rodziny lub znajomych, dlatego jutro zaczniemy od przesłuchania tychże. Warto jeszcze raz przesłuchać robotników, ja sam się tym zajmę. Na dzisiaj tyle. Możecie wracać do domu.

– Ekhm... – chrząknął Arthur.

– Tak?

– Nie chciałbym być niedyskretny, ale czy ta skrytka nie należała niegdyś do żony... do Anny Hophkins z domu Mitchel?

– Tak – odparł z wyraźnym grymasem John. – To był pokój mojej żony.

– Czy to nie dziwne, że gdy skrytkę znajduje jej siostra, niedługo później ginie wraz z mężem?

– Co sugerujesz? – zapytał Williams, choć sam od początku nie przestawał o tym myśleć.

– Czy możliwe, że w skrytce był dowód, wskazujący na mordercę Anny? Dlatego zginęli ci, którzy odkryli sekret?

– Innego motywu nie widzę – rzekł zmęczonym głosem. – Czas pokaże. Tym razem dojdę prawdy.

Inspektor pożegnał się i pierwszy opuścił mieszkanie, za nim Collins.

Peter Hank stał jeszcze chwilę, zaciskając pięści. Czuł się pomijany, jakby jego pomysły nie były wystarczająco błyskotliwe. Jakby był tylko dodatkiem. Ten knur jeszcze zobaczy – groził w myślach. – Jeszcze się zdziwi tym, co potrafię. Wyszedł, zatrzaskując drzwi i ze złością przekręcając klucz.

Doktor Phil Chester posiadał oprócz renomy coś, czego brakowało wielu jego kolegom. Empatię i potrzebę pomocy nawet tym, którzy nie mieli sutej sakiewki. Dlatego, gdy został wezwany do pilnego przypadku, nie zawahał się ani chwili. Nie przeszkadzała mu późna pora ani brzydka pogoda. Kiedy zorientował się, że w ciemnym zaułku nie ma śmiertelnie ранego i to tylko mistyfikacja, a spotkana na miejscu osoba nie znalazła się tam przypadkowo, krew silnym strumieniem wytrysnęła z jego tętnicy szyjnej. Mocny, pewny cios rozerwał twardą ścianę potężnego naczynia, powodując gwałtowny spadek ciśnienia mózgowego. Doktor, długoletni praktyk wiedział, że szansą na uratowanie jest tylko natychmiastowa operacja, a i tak nikła to szansa. Odruchowo ucisnął krwawiące miejsce, ale to było jak zawracanie kijem rwącej rzeki. Próbował krzyknąć, ale tylko gulgoczący charkot wydobył się z jego krtani. W ostatniej chwili życia nie poczuł, że odruchowo zaciskając lewą dłoń, utworzył z niej skrytkę dla małego skrawka papieru. Już wiedział, kto zamordował Annę Williams, ale właśnie zabierał tę tajemnicę w zaświaty.

John Williams wysiadł z dorożki i udał się do swojego gabinetu. Głowa mu pękała, a zmęczenie osłabiało zdolność racjonalnego myślenia. W nocy dopadła go kolejna wizja. Jakiś brodaty mężczyzna, kłótnia, szarpanina, a potem fontanna krwi z szyi i agonálny charkot. Sen miał atmosferę przesyconą grozą i złem.

Kiedy upił łyk porządnie zaparzonej gorącej herbaty i opadł na fotel za biurkiem, obrazy powróciły. Przypomnił sobie, kiedy pojawiła się pierwsza wizja. Dotyczyła ona Anny; wtedy myślał, że to jakiś znak, wskazówka, niestety śledztwo utknęło w martwym punkcie. Przez te pięć lat jeszcze kilkakrotnie miał uporczywe sny, ale nadzieja, że są one powiązane ze sobą, a tym samym ze śmiercią żony powoli ulatniała się. Nigdy jednak nie występowały w takim nasileniu. Teraz już trzecia wizja w ciągu dwóch dni. To nie mógł być przypadek, zwłaszcza że dwie osoby należały do kręgu najbliższych Annie. Nie wątpił, że niedługo pozna tożsamość trzeciej. I nie omylił się. Po kwadransie do gabinetu wparował nadkomisarz Connor.

James Connor z właściwą sobie nonszalancją usadowił się na fotelu vis-a-vis Williama, rozrzucając ręce na podłokietnikach i zakładając nogę na nogę.

– Mamy trzecie zwłoki w tym tygodniu. Urodzaj tej wiosny przerażający.

– Zachowaj tę swoją terminologię i metafory dla pismaków. Łeb mi pęka, relacjonuj. – Ponaglił inspektor.

– Niejaki Phil Chester, doktor medycyny.

– Cholera, znałem go.

– Któż o nim nie słyszał, chodząca fabryka humanitaryzmu i wierny naśladowca Hipokratesa.

– To się nam doborą teraz do skóry – Williams pociągnął potężny łyk herbaty. Przestała mu smakować.

– Już za Hophkinsów się nam oberwało. Prasa nadała przydomek naszemu zabójcy. *Morderca z Ealing*, przyznam, mało się postarali, bo...

– Niech zgadnę. – Przerwał bez ogródek John. – Małe chirurgiczne cięcie szyi?

– Ta... – Na moment stracił rezon Connor. – Ech! – zaśmiał się. – Już myślałem, że znowu małe wizjonerskie hokus-pokus, ale widzę, że ktoś szefa już poinformował. To co, jedziemy razem? – Wstał.

– Siadaj! – rozkazał inspektor. – I opowiadaj ze szczegółami, byle bez tej twojej kwiecistej ozdobnikowej mowy.

Z relacji nadkomisarza wyłonił się obraz zbrodni. Wieczorem doktor Phil Chester udał się na wezwanie do ciężko pobitego. Rano znaleziono jego zwłoki w pobliżu szynku „Wieprz i piwo”, w wąskim pasażu z tyłu przybytku. Duży upływ krwi, przecięta tętnica szyjna, zero świadków.

– Chłopcy już szukają tego malca, który przyniósł wiadomość. Myślę, że wkrótce go tu przyprowadzą.

– Dobra, trzecie morderstwo w tak krótkim czasie. Trzy szanowane osoby i brak powiązań. Przynajmniej na razie traktujemy to, jako dwie osobne sprawy.

– Jedziemy razem?

– Nie, ja muszę wszystko sobie poukładać, o tu. – Wskazał na czoło. – Tutaj dokonuje się najistotniejsza część śledztwa.

– Jak szef uważa – dodał z przekąsem Connor. – Ja wolę sam zobaczyć miejsce zbrodni. Chłopcy są niegłupi, jednak doświadczenie robi swoje.

Williams zgadzał się z nim, jednak jego myśli były zaprzątnięte poprzednimi zbrodniami. Wierzył, czuł podskórnice, że są powiązane ze śmiercią Anny. Doktorem zajmą się inni. Connor może i był nieco na bakier z manierami, ale inspektor miał pełne zaufanie do jego metod.

– No, to zbieram się. – Wstał i z uśmiechem dorzucił nadkomisarz niby od niechcienia: – Jeszcze jeden drobiazg... – Zawiesił głos.

– Widziałem w twoich oczach, że coś trzymasz w zanadrzu. – Lekki grymas pojawił się na twarzy Johna Williama.

– Przed chwilą dostałem to od doktora. – Wyciągnął kopertę. – W środku jest świstek papieru, który wyciągnięto z dłoni denata...

- Nikt go...
- ... i nikt go nie dotykał palcami. Chłopcy już wiedzą, że masz bzika na punkcie daktyloskopii.
- Dziękuję, nadkomisarzu.
- Connor skierował się ku drzwiom, nacisnął klamkę i odwrócił się jeszcze na odchodnym.
- A jak sprawuje się nasz młody Collins?
- Z tej mąki będzie chleb – rzekł sentencjonalnie zamyślony Williams. – Chociaż...
- Tak? – Zawiesił głos James.
- Nie, nic. Mam wrażenie, że coś się kryje za tą jego fasadą ugrzecznionego młodzieńca.
- Nawet wiem, co. – Roześmiał się Connor.
- Boję się zapytać. – Westchnął interlokutor.
- Fachowcy nazywają to... ambicja. – Ponownie zarechotał. – Rozpoznaję, bo mój szef też to ma. Odmeldowuję się. – Zatrzasnął lekko drzwi, nie czekając na ripostę inspektora.
- John wyciągnął z szuflady pęsetę i delikatnie wydobyl kawałek oddartej kartki. Ułożył na czystym blacie, ale zanim zdołał przeczytać treść, ktoś zapukał do drzwi.
- Wejść! – rzucił poirytowany.
- Panie inspektorze, melduję, że znaleźliśmy chłopca, który dostarczył wiadomość do ofiary. To jest doktora Phila Chestera. Wpuścić go? Nadkomisarz Connor opuszczając przed momentem komisariat, rozkazał najpierw przyprowadzić świadka do inspektora.
- Niech się tym zajmie Manster, chyba sobie poradzi.
- Policjant odmeldował się, a John w końcu mógł przeczytać treść.

... wtedy zrobię ten krok. Czas powiedzieć o wszystkim Johnowi, pora wyjawic tajemnicę. Mam już dość takiego życia, to mnie zżera od środka.

John Williams był bystrym człowiekiem. Przetworzył fakty natychmiastowo i jakby piorun w niego strzelił. Wyskoczył zza biurka, dopadł drzwi i gwałtownie je otwierając, krzyknął:

– Dajcie tu tego chłopca!

Zanim do gabinetu wszedł niewielki blondynek, John zdołał się nieco opanować, a i tak nie udało się w pełni ukryć burzy emocji, która nim targała. Chłopczyk na jego widok wzdrygnął się, ze strachem zajął wskazane miejsce, z trudem wyduszając z płuc powitanie.

Inspektor zatarł ręce. Śledztwo powoli szło naprzód. Jeszcze nie widział związku między zbrodniami, ale rozpoznał pismo żony i charakterystyczny sposób pisania imienia John. Jego imienia.

Arthur wyskoczył z dorożki i stanął przed przybytkiem, który nieszczególnie zachęcał do odwiedzin. „Wieprz i piwo”. – Szyld zadudnił przy silniejszym podmuchu wiatru. Może załatwię dwa w jednym. – Zaplanował w myślach. – Głodny jestem jak wilk, od rana tylko te przesłuchania i przesłuchania. Żeby jeszcze wniosły coś nowego, a tu zupełna posucha. Nawet już nie byli tak chętni do częstowania herbatą. Pewnie dlatego, jako niższy stopniem dostał rozkaz przeprowadzenia nudnego dochodzenia w szynku obok kolejnego miejsca zbrodni, a Hank miał dalej przeświecić rodzinę Hophkinsów.

Wkroczył do sali, która z elegancją miała tyle wspólnego, co fizjonomia szynkarza z wiszącym portretem Edwarda VII. Na szczęście mundur zrobił swoje. Służalczy właściciel przybytku szybko znalazł w miarę czysty stół, po czym nie bacząc na protesty Collinsa, postawił brudny kufel piwa.

– Mam tylko parę pytań. – Zaczął, nadając brzmieniu swojego głosu nutki powagi, ale tworząc jednocześnie nastrój konspiracji, schodząc do szeptu. Takie postępowanie okazało się słuszne – rybka chwyciła przynętę. Wtedy już tylko formalnością zostało spisanie danych klientów poprzedniego wieczora.

– Panie sierzancie. – Spojrzał na dystynkcyjne otyły szynkarz. – Co ja mam nie wiedzieć, kto u mnie był. Ja ich tu wszystkich znam, że ho, ho! – Najwyraźniej nie stać go było na bardziej wyszukane porównanie.

– W takim razie proszę mówić, ja będę notował.

Arthur skrupulatnie zapisywał, podczas gdy rozmówca dwoił się i troił, żeby pozytywnie wypaść przed przedstawicielem władzy. Potraktował to, jako inwestycję na przyszłość. Lepiej być z władzą w dobrych stosunkach, może przymkną oko na niewielkie uchybienia w prowadzeniu interesu, jakby co.

W pewnym momencie ręka Collinsa zawisła w powietrzu.

– Jest pan pewien?

– Jak tego, że świnia ma cztery nogi, a moje piwo najlepsze w Londynie, panie sierżancie!

Arthur dokończył przesłuchanie, zadał jeszcze parę dodatkowych pytań, po czym zerkając na zapisy w notesie, rzucił:

– No, to teraz poproszę coś do piwa! – Zaintrygowany, ale zadowolony podkreślił jedno nazwisko w zapiskach. Peter Hank. Kto by pomyślał? – Oceniał w myślach wartość tej informacji. – To interesujące i może być bardzo przydatne. Zastanowię się nad tym, ale najpierw pora dokarmić szare komórki.

Inspektor John Williams uśmiechnął się w zamierzeniu jowialnie i spokojnie powiedział:

– Jak się nazywasz? Siadaj. – Wskazał miejsce na fotelu.

Efekt był odwrotny do zamierzonego. Struchlały blondynek, chudy i blady, na oko około dziesięcioletni, wydawał się jeszcze bardziej przestraszony niż w momencie, kiedy wszedł do gabinetu. Posłusznie usadowił się na meblu, wciskając w oparcie i wręcz ginąc w nim jak w paszczy czarnoskórego potwora.

– Ga... Ga... Gary... – wystękał wreszcie. – Gary Rabbit.

John starał się zachowywać spokojnie, ale trudno mu było utrzymać w ryzach wewnętrzne napięcie i podniecenie. Nos śledczego wyczuł zwierzynę i chciał jak najszybciej podążyć jej tropem.

– Nie ma się czego bać. – Starał się złagodzić sytuację, ale malec jeszcze bardziej skurczył się w sobie. – Powiedz mi tylko jedno i będziesz wolny.

– Ta... ta... tak?

Zaraz chwycę go za kołnierz i wytrąsę z niego wszystko, jeśli nie przestanie się jąkać. – Powstrzymywał w myślach irytację Williams. – Czy wczorajszego dnia, to ty przyniosłeś wiadomość do doktora Phila Chestera? – Tym razem wyartykułował pytanie, przesadnie akcentując każde słowo.

– Tego, co to go... ciachnęli? – Malec nieznacznie się ożywił.

– Tak, właśnie o niego pytam.

– No, to ja.

– To znaczy, ty dostarczyłeś wiadomość?

– Ja, szefie. – Potaknął.

– A czy potrafisz powiedzieć, kto ci tę wiadomość wręczył? Jakies cechy szczególne, mężczyzna, kobieta, wysoki... – podpowiadał inspektor.

– No, przecież wiem, kto. – Zdziwił się chłopiec.

– Wiesz? – Williams nie mógł uwierzyć we własne szczęście. W końcu jakiś punkt uchwytu. – To mów, na co czekasz, to bardzo, bardzo ważne. – Ponaglał blondynka.

Nagle, za nieco uchylonymi drzwiami zamajaczył jakiś cień. John w paru susach znalazł się przy nich, ale gdy wyjrzał na korytarz, nikogo już nie było. Zamknął je porządnie i wrócił do świadka.

Kiedy mały udzielił w końcu odpowiedzi, inspektor zdębiał. W swojej pracy widział wiele i mało co potrafiło go jeszcze zaskoczyć, ale teraz chwilę trwało, zanim doszedł do siebie i zamknął otwarte ze zdziwienia usta. – To niemożliwe. – Pomyślał, ale zamiast zbesztać małego, zasępił się i przestając interesować się świadkiem, zaczął chodzić po gabinecie, mamrocząc tylko coś pod nosem.

Po kwadransie zniecierpliwiony chłopczyk chrząknął. Inspektor od kilku minut stał przed oknem i tępo wpatrywał się w kamienicę naprzeciwko. Na ten odgłos drgnął i jakby wrócił z dalekiej podróży. Potrzebował ostatecznego dowodu.

– Chłopcze. Gary. Nie mogę cię puścić samego, grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Odprowadzę cię oso-

biście do rodziców, ale najpierw muszę jeszcze coś sprawdzić.

Gary nie odezwał się, a inspektor zaczął działać jak w transie, jakby nie dostrzegając obecności malca. Delikatnie uniósł pęsetą skrawek papieru, później wyczyniał tajemnicze rytuały z pędzelkiem, sypał jakiś proszek, coś przyklejał, w końcu rzekł: „No!”, po czym zaczął grzebać w szafce koło drzwi.

– Mam to! – obwieścił bardziej sobie niż dziecku i z drżeniem rąk wyciągnął jakieś papiery. Gary Rabbit nie dostrzegł napisu na wierzchu teczki, ale i tak nie potrafiłby go odczytać.

Inspektor za to wydobył z szuflady biurka olbrzymią lupę i popatrywał, to na zrobione przed chwilą odciski linii papilarnych, to na te, które jeszcze przed momentem spoczywały w papierowej teczce.

Nawet i bez szkła powiększającego i wysublimowanego oka, bez trudu można było wysunąć wniosek – to były identyczne ślady. Pozostawione przez tę samą osobę. Przez mordercę. Co prawda na kartce były również inne ślady, ale Williams ocenił, że muszą należeć do Anny i doktora.

Teraz wszystkie rozrzucone i pozornie niezwiązane elementy układanki zaczęły w głowie inspektora tworzyć jedną wspólną całość. Zrozumiał nawet swoje tajemnicze wizje. Nic nie było przypadkowe. Ujrzał właśnie całą prawdę. I już wiedział, co musi zrobić. Ale najpierw chłopiec, musi go ochronić. Przedtem wyciągnął jeszcze notes i coś nabazgrał na kartce, którą wyrwał i schował w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Na wszelki wypadek. – Klepnął się w pierś w miejscu kieszonki.

– Jechałeś kiedyś dorożką? – zapytał, nie patrząc nawet na małego.

– Dorożką? Taką prawdziwą? – Gary’emu zaświeciły się oczy. – Nigdy, szefie. – Powoli nabierał odwagi i już śmieiej odpowiadał.

– No, to będzie twój pierwszy raz. Chodźmy! – Otworzył drzwi inspektor. Rabbit, jak przystało na jego nazwisko, w paru susach znalazł się obok dorosłego mężczyzny i z ufnością udał się za nim.

Po dwudziestominutowej przejażdżce dumnie zeskoczył na bruk. Mam nadzieję, że chłopaki mnie widzą, inaczej mi nie uwierzą. – Cieszył się w myślach. Nikogo z rówieśników jednak nie zobaczył.

Inspektor szybko pociągnął malca do rudery, którą wskazał. Zajęty własnymi myślami, nie zwrócił uwagi na nędzę, kryjącą się w okolicy, a tym bardziej wewnątrz klitki, będącej domem dla licznej rodziny.

Ojciec, pijaczyna bełkocząc coś, zasalutował i zanim Williams zdążył się odezwać, wrzasnął:

– Co znowu przeszkobał?! – Chwycił za pasek, mocując się z nim chwilę.

– Panie Rabbit, proszę posłuchać i o nic na razie nie pytać. Chłopcu grozi niebezpieczeństwo. Musi zostać pod opieką w domu, co najmniej do jutra. Inaczej dojdzie do tragedii. Rozumie pan? – Spojrzał groźnie.

– Jasna sprawa... czik... Już ja go... przypilnuję... hik... gnojek jeden posiedzi i nie ma obaw.

– To sprawa życia i śmierci. – Doniośle i tubalnie zagrał na ojcowskich uczuciach John.

– Się rozumie... Tak jest. – Zasalutował ponownie.

– Gary – zwrócił się do chłopca. – Pamiętaj, nie wolno ci opuszczać domu ani na chwilę. Póki nie unieszkodliwię mordercy. On nie będzie taki łagodny jak ja. Zrozumiałeś?

Chłopiec potakująco kiwnął parę razy głową.

Inspektor oddalając się, układał już w myślach plan działania. Gdyby wsłuchał się we własne sumienie, usłyszałby wyrzut. Nie tak powinien załatwić sprawę.

Godziny ciągnęły się niemiłosiernie wolno, wydawać by się mogło, że to już parę dni, lecz to zaledwie sześć godzin od momentu, kiedy inspektor Williams zostawił go pod opieką ojca. Ten zresztą spał już, pochrapując i wydzielając woń przetrawionego alkoholu. Matka wyszła, a troje młodszego rodzeństwa bawiło się w kącie.

Gary nie bał się okolicy, nawet w nadciągającym zmierzchu, mgle i mżawce; znał tutaj każdy zakamarek, każdy kamień. A koledzy na pewno już bez niego wymyślili jakieś fajne zajęcie. Ale będzie, jak im

opowie o przejeździe dorożką. Stara Flandry widziała z okna, ta gaduła na pewno rozpowie w okolicy. Przynajmniej ktoś poprze jego słowa. Tak rozmarzając się, zeskoczył z parapetu. Przeszedł zaledwie parę kroków, gdy jakaś wielka postać stanęła mu na drodze.

Przez moment chciał cofnąć się i uciekać, ale jeszcze raz rzucił okiem na mężczyznę. To przecież policjant. – Uspokoił się. Uśmiechnął się, zanim jednak zdołał coś powiedzieć, mokra chusteczka przyłgnęła do jego warg i nosa. Poczul, jak myśli odpływają w szybkim tempie. Zapadał w sen. Sen, z którego miał się już nie obudzić.

John Williams ciężkim krokiem wszedł do mieszkania. Bolała go głowa, czuł się niesamowicie wyczerpany dzisiejszym dniem. Sprawa była już jasna, ale nie czuł satysfakcji, tylko przygnębienie i brzemie odpowiedzialności. Dzisiaj przeciwnik wygrał z nim po raz ostatni. Ale więcej mu na to nie pozwoli. Rozprawi się z nim ostatecznie. Koniec z morderstwami.

Zdjął płaszcz, wieszając go niedbale na oparciu krzesła. Nagle coś mu się przypomniało, wyciągnął karteczkę z własnoręcznie zapisaną wiadomością. Zimny lód przemknął mu wzdłuż kręgosłupa, odczuł czyjąś obecność w pomieszczeniu. Powoli odwrócił się w prawo i zobaczył postać mężczyzny. Znajome oblicze, choć tak odmienione. Wiedział, kto przed nim stoi. Morderca z Ealing.

Peter Hank pochylił się nad ciałem. Zmęczenie nagle się ulotniło, a niedawna irytacja ustąpiła. Po całym dniu przepytywania rodziny i znajomych Hophkinsów miał dość. Snoby i tyle. A konkretów żadnych. Potem jeszcze nieprzyjemna rozmowa z Collinssem.

Od razu podejrzewałem, że jest zbyt ugrzeczniwy. – Podsumował w myślach. – A ten, jak tylko się dowiedział, że siedziałem pod „Wieprzem i piwem”, zrobił z tego aferę. Henry mnie zna, potwierdzi, że często u niego bywam. A Collins od razu, że niby po koleżeńsku mi przekazuje, zanim zda raport z dochodzenia. I patrzy się na mnie, jakbym miał mu dziękować ze łzami w oczach albo błagać go, żeby ukrył ten fakt. Też mi detektyw. Ledwo „toto” przyjechało z prowincji, już się wywyższa. Nawet kupił sobie melonik, żeby być na czasie. Pieprzony modniś. Peter nie rozumiał nowej mody, te nowoczesne kapelusze była jakieś takie... babskie.

Zdenerwowany Hank podpisał raport i już miał wracać do domu, gdy dotarło zgłoszenie o morderstwie dziecka. Sam zgłosił się na ochotnika do pomocy, chociaż właściwie miał już wolne.

Brudne toto, cwane i złodziejskie nasienie. – Trwał przy swojej ocenie Hank. – Ale widział tę nędzę i brak opieki wśród wielkiej rzeszy podobnych dzieciaków z najuboższych mieszkańców Londynu. Miał uprzedzenia do nich, ale morderstwo dziecka – do cholery! – to morderstwo dziecka. Żadne nie powinno tak skończyć, nawet jedno z takich. Chętnie podjął się tej sprawy i w krótkim czasie znalazł się w ciemnym zaułku w pobliżu miejsca zamieszkania Gary'ego Rabbita.

Po oględzinach i rozmowie z doktorem sprawa była dość jasna. Toksyczna dawka chloroformu. Dzieciak przynajmniej nie cierpiał, śmierć zabrała zniwo w mgnieniu oka. – Podsumował lekarz.

Peterowi przypadło w udziale przepytanie rodziców. Ojciec bełkotał coś w alkoholowym upojeniu, matka zaś lamentowała i ciężko było czegoś się od niej dowiedzieć. Dopiero parę łyków bimbru nieco ją uspokoiło.

– Miał łązega siedzieć w domu! – Łkała kobieta w nieokreślonym wieku. Mogła mieć zarówno dwadzieścia kilka, jak i pięćdziesiąt lat.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni? – zapytał sucho. Z doświadczenia wiedział, że tak było łatwiej. Zbyt nie okazywanie empatii nie ułatwiało przesłuchania.

– No, jak wychodziłam z domu. Jak wróciłam, to już go nie było. Nick go znalazł, chłopak sąsiadów.

Ech, to będzie trudne. – Zawyrokował w myślach Hank. Po kilku minutach miał już niejaki pogląd na sprawę. Około południa sam inspektor John Williams przyprowadził chłopca z komisariatu i nakazał nie wypuszczać Gary'ego z domu. Podobno coś mu groziło.

– Nie wiedzą państwo, o co chodziło?

– Nie, ten inspektor nie powiedział.

– A Gary nic nie zdradził? – podpytywał delikatnie Hank.

– Coś tam gadał. Najwięcej o dorożce. I o tych swoich posyłkach, że niby takie ważne.

– Posyłkach?

– No, wie pan policjant, dzieciak już duży to i zarabiać musi. Zawsze jakiś grosz, ciężko u nas, bo...

– Wiem, wiem. – Zniecierpliwiał się aspirant. – O jakie posyłki chodziło?

– Te wiadomości, co to nosił do doktora, tego, co go, co sztachnęli wczoraj. I od tej starej, co to jej kark skręcili... Hawkins jej było.

– Hophkins? – Znieruchomiał Peter Hank.

– No, przecież mówię. Hawkins.

Ciarki przebiegły policjantowi po całym ciele. Przypomniawszy sobie zeznanie pijanego robotnika i w mig zrozumiał błąd. Kartka w notesie paliła go teraz w kieszeni. Ta informacja mogła naprowadzić na trop mordercy. Może udałoby się uniknąć przynajmniej jednego zabójstwa, a on zaniedbał obowiązki. Oceniał ślad na podstawie informatora, a nie logiki i prawideł śledczych. Niech go szlag! – zaklął w myślach.

– Kogo? – zapytała Rabbitowa. Jak się okazało, zaklął nie tylko w myślach.

– Pani Rabbit, proszę mi powiedzieć! – Chwycił ją za ramiona. – Czy wie pani, kto wysłał pani syna do doktora albo do kogo wysłała go pani Hophkins? – Cały drżał z przejęcia.

– No wiem, przecież to ta sama osoba.

Kiedy z ust matki zamordowanego dziecka padło w końcu nazwisko, Hank aż złapał się za głowę. Może nie należał do najbystrzejszych, ale zrozumiał jedno. Ta informacja jest na wagę złota. I nie poradzi sobie w pojedynkę, potrzeba będzie użyć wysoko postawionych argumentów.

Anna Williams spieszyła na spotkanie. W jej sercu buzowały wielkie emocje. Podniecenie zmieszane z radosnym oczekiwaniem, a z drugiej strony obawa, wręcz strach. Nie bała się jednak słabo oświetlonych londyńskich uliczek, nie przerażały ją napotykanne, brzydkie i zniszczone twarze. Biegła na spotkanie nowego życia, pora zrzucić z siebie ten ciężar, wyjawic tajemnicę i otworzyć kolejny, lepszy rozdział. Dzisiaj się to rozstrzygnie, i tak zwlekała zbyt długo.

W pewnym momencie zorientowała się, że ktoś za nią idzie. Gdy zwolniła kroku, ten ktoś również. Delikatnie odwróciła się, ale nikogo nie ujrzała. Ruszyła naprzód, by po chwili znowu usłyszeć za sobą odgłos kroków. Skręciła gwałtownie w nieznaną uliczkę i to był błąd. Zaulek był bez wyjścia. Zorientowawszy się w omyłce, odwróciła się i nieomal krzyknęła. Przed nią zamajaczyła wysoka postać. Strach powoli obejmował jej ciało, zebrała siły, żeby wezwać pomoc, ale wtedy dojrzała twarz mężczyzny.

– To ty?

Oblicze, które dostrzegła, było jej bardzo dobrze znane, ale teraz jakby obce i dzikie. Dlatego, zamiast się uspokoić, poczęła wpadać w coraz większą panikę.

– Czy ty mnie śledzisz, mężu mój?

John Williams spoglądał na mężczyznę w lustrze. Twarz grubo ciosana, ściągnięte brwi, a w oczach błysk szaleństwa i jakaś taka... dzikość. Pierwotność. – Przemknęło mu przez głowę.

Popatrzył jeszcze raz na karteczkę. Gdy chłopiec wskazał na niego, najpierw miał się roześmiać. Jednak nie był człowiekiem głupim. Po tej informacji wszystko nabrało sensu, pasowało do siebie. Słowa dziec-

ka to było jednak za mało. Porównał więc odciski palców z kartki z tymi, które wykonał jako pierwsze po zakupie zestawu do daktyloskopii. Opatrzona karteczką: John Williams, Inspektor Policji, Londyn. To, co niemożliwe, stało się prawdą. Nie pamiętał przecież, żeby kiedykolwiek widział tę kartkę, a tym bardziej jej dotykał. Niemniej tak było. Wtedy jak błyskawica przyleciało dawne wspomnienie. Na sympozjum w Wiedniu kilka lat temu usłyszał wykład doktora Sigmunda Freuda. Opisywał tam przypadek podwójnej osobowości, brzmiało to jak fantazje z książek Verne'a, ale sam szef wiedeńskiej policji ręczył za prawdziwość tych słów.

Dwie osoby w jednym ciele? I żadna nie wie o drugiej?

– Co, zdziwiony? – Jakby czytał mu w myślach człowiek w lustrze. – Jesteś głupi, nawet nie podejrzewałeś mojego istnienia, podczas gdy ja cały czas wiedziałem o tobie. Ba, wykorzystywałem twoją pozycję i doświadczenie, He, he! – zaśmiał się złowrogo.

– Milcz! – wrzasnął John. – Ty nie jesteś mną!

– Dobrze wiesz, jak sprawy stoją – wysyczał szyderczo morderca z Ealing. – Fakty mówią za siebie.

– Ale teraz przegrałeś! – John wymierzył palcem w stronę przeciwnika. – Nikogo więcej już nie zabijesz, nie pozwolę ci na to!

– Jesteś za miękki. – Parsknął z lekceważeniem mężczyzna w lustrze. – To ja musiałem się narodzić, żeby zadać sprawiedliwość. Anna cię zdradzała i chciała zostawić, a ty co?! Podchody urządzałeś. Należało się jej, dziwce. Ona należała do NAS! – Gniewne, złe spojrzenie spoczęło na Johnie. Ten w pierwszym momencie chciał pięścią uderzyć w szkło, ale ręka zastygła w powietrzu. Pochylił głowę. Zazdrość. Zawsze w nim siedziała, przebiła miłość, pchnęła do zbrodni. Zamordowałem Annę. – Zacisnął powieki i kilka łez spłynęło po policzkach. – Zamordowałem własną żonę, tworząc tego potwora. To ja jestem tym potworem. – Otworzył oczy. Postać w lustrze nie zniknęła. Śmiała się szyderczo z chwili słabości przeciwnika.

– Nawet nie rozumiałeś „wizji”, byłeś za głupi. Mózg to sprytny mechanizm, dawał ci znaki. Mogłeś mnie poznać, ale tchórzyłeś, wsadzałeś rzeczywistość między bajki. To ja musiałem działać. Jesteś żalonym mazgajem!

– To ty jesteś mordercą! Nie ja! – Napluł w lustrzaną twarz. Ślina ściekała, odsłaniając zło w ludzkiej postaci. Powoli wyłaniał się paskudny uśmiech i lodowate zmrużone oczy.

– A pamiętasz Mary? Biedaczka sama nas wezwała, jak znalazła pamiętnik Anny. Na nieszczęście dla niej zdążyła go przeczytać i odesłać. Sam rozumiesz, że musiała tajemnicę zabrać do grobu. Musiałem cię chronić! Nas chronić!

– Nie!... – wykrzyknął zdławionym głosem Williams.

– Ale wydusiłem. – Zaakcentował to słowo, śmiejąc się sardonicznie. – Wydusiłem z niej przed śmiercią, co zrobiła z zapiskami. Biedny Arthur był trudniejszym przeciwnikiem, ale naiwnym. Wepchnąłem mu pogróżki do gardła. Wręcz wbiłem do głowy. He, he, he! – ryknął mrozącym krew w żyłach śmiechem. – Cały świat stanął mu przed oczami, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Przestań! Przestań! – John złapał się oburącz za głowę. – Nie mogę tego słuchać!

– A drogi, wspańiały doktorek Phil Chester? Tak biegał pomóc umierającemu. Nie spodziewał się męża byłej kochanki. Nasza droga Annie skrobnęła jednak wystarczająco na jego temat. W końcu go odnaleźliśmy. Nie pamiętasssssz?! – zasyczał.

– Nie, to nie ja! Mi się to tylko śniło! Nigdy bym nikogo nie zabił! – Próbował bezskutecznie oddalić od siebie winę inspektor.

– A ten mały? Ululaliśmy go jak najlepsza mamka, he! – *Alter ego* Johna wykonało gest kołysania, uśmiechając się kpiąco.

– To był mój błąd. Myślałem, że będzie bezpieczny.

– Nie spodziewałeś się mnie tak szybko? Oj, bratku, teraz już zawsze będziemy razem. Teraz już nie muszę się ukrywać.

- Zapłacisz mi za to!
- Jeszcze nie zrozumiałeś, głupcze?! – Zmienił ton lustrzany mężczyzna. – Żyjemy w symbiozie.
- Raczej w protokooperacji.
- He? Sugerujesz, że nie jesteśmy sobie potrzebni do życia? Że możesz żyć beze mnie? Co to, to nie... – Urwał. Jakaś myśl przyszła mu do głowy. Paskudny, zły uśmiech powoli rozciągał się na groteskowej, obłąkańczej twarzy.
- Co się stało? – John wyczuł zmianę w zachowaniu swojego *alter ego*.
- Jednak przyznam ci rację. Nie potrzebujemy siebie. JA ciebie nie potrzebuję! Jesteś słaby. To ja brałem ciężar działania, ja usuwałem ślady, Tamiza przyjęła wszystko. Pora odejść, Johnie Williamsie. Teraz czas na mnie, nowego lepszego Johna!
- Nigdy! – wykrzyknął inspektor. – Nigdy ci na to nie pozwolę!
- I co mi zrobisz, heh? Głupcze, już idę po ciebie. Nie zauważyłeś, że coraz częściej w nas mnie? Nie zasługujesz na miano detektywa, jesteś za głupi!
- Odpowiesz za wszystko – pewnie i stanowczo odpowiedział John.
Lustrzany potwór zastygł. Powoli niedowierzenie i strach pojawiły się w jego oczach.
- Nie, John, nie rób tego. Nie! – wrzasnęła bestia.
Inspektor widział w lustrze, jak przeciwnik wyciąga rewolwer, przykładając go do prawej skroni. W jego oczach widział już tylko panikę.
- Zastanów się jesz...

Peter Hank cicho pokonując schody wraz z obstawą kolegów i dowodzącym Connorem, usłyszał wystrzał. Wtedy wszyscy rzucili się pędem do mieszkania Johna Williamsa. Dwóch najsilniejszych poradziło sobie z drzwiami. Na podłodze przed lustrem w kałuży krwi, z dymiącym jeszcze rewolwerem leżał ich przełożony. Martwe oczy były spokojne, a na twarzy jawił się przedśmiertny uśmiech. Hankowi skojarzył się z gestem tryumfu, ale co on tam wie. Nie należał do najbystrzejszych w tym fachu. W lewej ręce denat ścisnął karteczkę. Koślawe pismo właściciela informowało: „To ja jestem mordercą z Ealing!”.

...Coraz częściej widzę jakiś złowrogi cień w oczach Johna. To nie jest ten sam mężczyzna, którego pokochałam. Wierzę, że mnie kocha, ale mi nie ufa. Zazdrość go zjada, mam dość tych częstych wyrzutów i bezpodstawnych awantur. Co prawda od paru miesięcy nie są one już bezpodstawne, znalazłam nowego doktora na własne dolegliwości. John nic nie wie. Nie boję się o siebie, tylko o Phila. Ten człowiek, mój mąż, momentami zdaje mi się obcy, jakby był kimś zupełnie innym. Nie potrafię z nim być. Nie mam już w nim oparcia. Umówiłam się dziś z Philem w naszym stałym miejscu, John ma wrócić późno. Nie można tkąć małżeństwa na nieufności i stałej kontroli. Nie chcę być jak te kobiety bez własnego zdania, potulnie oddające się woli mężczyzny. Czuję się jakby jakaś bestia podcinała mi skrzydła, pora wyzwolić się z klatki.

Jeśli dziś Phil zgodzi się, żebym z nim została, wtedy zrobię ten krok. Czas powiedzieć o wszystkim Johnowi, pora wyjawić tajemnicę. Mam już dość takiego życia, to mnie zżera od środka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Carvedilol, dodano 04.06.2018 14:46

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.